

Nasz letni wyjazd w Alpy stanął ponownie pod znakiem zapytania. W lipcu warunki na skalne alpejskie wspinanie były znakomite tylko my poodmrażani, w sierpniu odwrotnie: cały czas lało i sypało a my rwaliśmy się do alpinizmu. Przeglądamy neta w samochodzie na Łysej Polanie. Właśnie psuje się pogoda w Tatrach więc po kilku dniach, które spędziliśmy na Taborze wypadałoby ruszyć dalej na południowy zachód. Tylko po co? Na Jorassach warstwa świeżego śniegu i prognoza dalszych opadów.

Sprawdzamy Norwegię (całe lato padał tam śnieg z deszczem) i z niedowierzaniem patrzymy na 7 dni lampy pod rząd! Kolejna witryna, z której usług skorzystaliśmy to Stena - zakup biletu na prom on line.



Pierwszy wyciąg

Dwa dni później jedziemy sobie wieczorkiem przez dolinę Romsdal, Gosia wertuje przewodnik. Coś na rozwspinanie. Może Hornaksla? 350 m wysokości, podejście 10 minut. Nie no, taka pogoda trafia się w Norwegii raz w roku albo rzadziej. Nie mamy czasu na grę wstępną,

jedziemy od razu po bandzie; Costa Brava VII, A2, 1000 metrów na południowej ścianie Mongejury. Co tam! Trudno, jutro rano po trzech wyciągach staniemy - obsrani ze strachu - z powrotem pod ścianą i poszukamy sobie czegoś łatwiejszego.

Tymczasem dojeżdżamy do naszego sprawdzonego obozowiska na Raumą i po rytualnej sprzeczce, jakie zazwyczaj koncelebrujemy przed poważną wspinaczką, kołysani szumem rzeki, idziemy spać.

Pobudka o 6, szybkie śniadanko i przyzwyczajenie wcześnie parkujemy koło kościółka z cementarzykiem niedaleko południowej ściany Mongejury. Podejście i część drogi znamy. 3 lata temu robiliśmy Filar Południowy, który startuje blisko Costy i łączy się z nią ponownie w połowie ściany. Ścieżka - jak to w Norwegii - zanika, więc trochę narzekamy na tutejszą infrastrukturę a Gosia wpada w pokrzywy. Ściana coraz bliżej, coraz większa, bardziej spionowana a my coraz mniejsi. Z daleka widać mokre zacieki w czarnym zacięciu, którym prawdopodobnie będziemy iść. Robi nam się słabo. Na szczęście spit, oznaczający początek drogi odnajdujemy znacznie bardziej na prawo w „ludzkim” terenie.



Wiszące stanowisko przed pająkiem

Przepak w jeden plecak. Cholernie dużo towaru; śpiworek na biwak, karimata, jedzenie na 2 dni, sprzęt do hakówki, trochę haków, 2 młotki, kurtki przeciwdeszczowe (ich obecność w plecaku będzie niedługo przedmiotem gorzkich żartów) buty podejściowe, lekkie sweterki puchowe (kolejna pomyłka) no i 3 litry wody a właściwie 2,5 bo ostatnia butelka nie chciała się zmieścić.

Z taką pewną nieśmiałością zacząłem. Pierwsze metry łatwe, asekuracja rzadko, kolejne trudne ale za to bezpieczne. Jest moc i koncentracja a cyfra VII nie wydaje się harda. Gosi kolej. Drugi wyciąg nie jest trudny. Co prawda na przeszkodzie staje wielki pająk, który usiłuje omotać ją pajęczyną, wciągnąć do nory i zjeść, jednak po kilku minutach walki z własną wyobraźnią i wymachiwania ekspresem udaje się Małgosi pokonać to największe zagrożenie. Idąc na drugiego zrzuciłem spory głaz wiszący nad stanowiskiem, który ominęliśmy z duszą na ramieniu. Kolejny wyciąg to piękne, regularne zacięcie. Gonia poprowadziła je sprawnie i pewnie, w szpagacie rozciągnięta nad moją głową, ja tymczasem stwierdziłem wyciek z jednej butelki na dnie plecaka.

Zanim doszedłem do kolejnego stanowiska, pół litra drogiego płynu spłynęło mi po plecach. Tymczasem słońko właśnie zaczęło operować.

Impet uderzenia minimalnie osłabł po małym zapychu na początku następnego wyciągu ale już po chwili odzyskaliśmy rytm a cały 50-cio metrowy wyciąg (VI+ A1) poddał się bez podhaczania. Końcówka z wyjściem na eksponowaną płytę z cieniutką rysą na palce była jednym z specjalite de la maison norweskiego wspinania. Chwilę posmażyłem się na słońcu na wiszącym stanowisku i rozpoczęliśmy procedurę pająka (tym razem autentycznie wspinaczkowego); najpierw Gonia zjechała kilka metrów niżej na półkę, wytrawersowała odważnie litym piątkowym terenem na 15-metrowym wahadle i założyła stanowisko na tej samej wysokości co poprzednie a następnie pan prezes z plecakiem został opuszczony jak wór kartofli i bezpiecznie (asekurowany jedną liną ze starego i drugą z nowego stanu), dostojnie osiągnął podstawę ogromnego zacięcia. Lina została odwiązana od uprząży i przeciągnięta przez stare stanowisko co procedurę zakończyło i znaleźliśmy się w błogosławionym cieniu.

W zacięciu wspinano się fajnie. Po 30 metrach klasyki pomieszaney z azerowaniem moim oczom ukazał się spít na płycie. Tutaj wg schematu należało wykonać diagonalny zjazd do prawej krawędzi zacięcia i kontynuować po drugiej stronie kantu. Zjechałem na półeczkę i w bardzo czujnym trawersie po kilku wstawkach odnalazłem sekwencję lepienia się do granitu , która zaprowadziła mnie 5 metrów w prawo aż do wspomnianego kantu zacięcia. Rzut okiem na drugą stronę nie pozostawiał złudzeń; przewieszane lite płyty. Trzeba pomykać rysą w ścianie zacięcia ale niestety wszystkie camy od 0,25 do 3 już tkwią poniżej a zostało jeszcze ze 20 metrów rysy. Straciłem tu masę czasu na gimnastykę a potem jeszcze trochę na zrobienie stanu. Ten wyciąg dokończyła Gosia i następnym, 60-cio metrowym, doprowadziła nas pod kluczową barierę skalną, przeciętą systemem rys. W ustach mieliśmy już pustynię więc stanowiskowe drzewko, dające skrawki cienia spadło nam jak z nieba.



Gosia na wyciągu VII A2

Pierwsza ryska w płycie uwodziła nadzieją na osadzenie frienda, która rozwiła się równie szybko jak pojawiła - ziemia i bujna roślinność dokładnie wypełniły pęknięcie. Balansowałem przez parę minut kilka metrów nad półką, ryzykując gwałtowne spotkanie z glebą, aż w końcu moja dłoń zacisnęła się na wątlym, pachnącym aromatycznymi żywicami w tym upale jałowczyku, psycha zawierzyła sile korzonków a ciało ostrożnie wzniosło się wyżej. Potem rysa offwidth, trochę hakówki i wiszące stanowisko na rozgrzanych płytach. Gosia na przyrządach z ciężkim plecakiem dopełzła po chwili. Cała sterta zbędnych ubrań i resztki ciepłej wody a z nieba żar leje się już prawie poziomo. Zachody słońca w Norwegii trwają znacznie dłużej niż na naszej szerokości geograficznej.

Zaczynamy kluczowy wyciąg VII, A2. Tymczasem minęło 12 godzin akcji i zauważam słabą pracę nie tylko ciała ale i umysłu. Zastanawianie się co „by w tę szczelinę wetknąć?” trwa zdecydowanie za długo. Osiągnięta po kilkunastu metrach wspinania półka pod przewieszką staje się przy użyciu młotka i haczorów doskonałym stanowiskiem, z którego zjeżdżamy 50 m na trawiasty taras. Możemy legowisko i staramy się usnąć. Może chociaż łyżek wody z zapasu na jutro? Dobrze, po maleńkim.

Do rana wypiliśmy szklankę więc zostało tylko pół litra na resztę drogi. Może chociaż jakieś chmurki osłonią nas przed tą ognistą kulą, od samego rana wiszącą na niebie? O 6 zaczynamy akcję ponownie od 50 metrowego podejścia na linie. Gosia pełna animuszu obwiesza się szpejem:

- Wyciąg kończy się przy tej kępcie trawy?
- Której?
- No tej tutaj, tak z 15 metrów nad nami.
- Tutaj? No raczej nie.
- Nie chcesz chyba powiedzieć, że tam het na tle nieba?
- Właśnie tam.
- Tam? A ile to jest?
- Tak z 45 metrów.
- A nie. To ja dziękuję - podaje mi pęczek ekspresów
- Kompromitacja.

Chwila konsternacji...

- No dobra. Mogę iść?

Na tym wyciągu kilka razy musiała zjechać z dobrych punktów żeby odzyskać sprzęt. Mieliśmy tylko pojedyncze rozmiary a należałoby mieć potrojone. Tuż przed stanowiskiem osadziła na poratowanie psychy największy „parasol” jaki posiadaliśmy - camalot nr 5 ciąglem do góry w dziurze o głębokości 3 cm i całkowicie pozbawiona szpeju, z ostatniej taśmy zmotąta wiszący stan na dwóch spitach. Niebo bez ani jednej chmurki.

Mi przypało w udziale dokończenie bariery. Znaleźliśmy się na kolejnym tarasie, trudności zostawiając za sobą. Przewinęliśmy się przez kant na prawą stronę filara, gdzie słońce nadziało nas na ruszt i przypiekało równomiernie ze wszystkich stron. Trochę otumaniony skwarem zacząłem błędzić na lotnej w labiryncie słabów, w bezskutecznym poszukiwaniu połączenia naszej linii z Filarem Pd. Gorąco bijące od skał przypominało o włączonej w tym piekarniku funkcji „Grill”. Na połogich tarasach mrówki czepiały się liny, pełzającej przez ich mrowiska i tym taśmociągiem dojeżdżały do stanowisk, żeby zaatakować nas aromatycznym kwasem mrówkowym. Niektóre skały dosłownie parzyły ręce.

Odwrót. O jakże błoga świadomość, że pod ścianą leży plecak z butelką wody w środku. 2 wyciągi zewspinywania się na lotnej, 9 długich zjazdów i szczęśliwi przysysamy się do plastikowego gwintu. Kurtki przeciwdeszczowe i sweterki puchowe przydadzą się być może innym razem.

Józek Soszyński